

REKRUT.

napisał

Jot. Ka. Er.



Była to jedna z owych cudownych nocy górskich. Ciemne szafiry niebios złociły się milionami gwiazd, a błądy księżyc oblewał smutnem światłem turnie tatrzańskie. Cicho było i martwo, szare osuszone granity drzemały, ukołysane szumem starych buków i świerków. Może one śniły o dawnych, lepszych czasach... Na dole tylko srebrne potoki pienily się i huczały, pędząc do Dunajca. Cicho było i martwo: w taką noc góral mimowoli ogląda się, czy gdzie pośród drzew nie błysnie światełko brodatego mnicha, a góralka żegna się ze strachem przed dziwożoną w czerwonej czapeczce.

Na kraju lasu stała chata góralska, zasłonięta od wichrów konarami olbrzymiego jaworu. Na małej ławeczce u stóp drzewa siedziała młoda dziewczyna, a obok niej góral dwudziestoletni.

W księżycowem oświetleniu malowały się wyraźnie ich postacie: ona była brunetką z delikatnemi rysami twarzy i szafrowemi oczyma, chłopiec zaś smukły i bujny, jak jodła, a według góralskiego porównania, jak buk, miał jasne, długie włosy, rzymski nos i bystre błękitne oczy, które twarzy jego nadawały wyraz orlej dumy. Trzymał jedną ręką w pól dziewczynę i mówił:

— Tak wej moja Maryś musi być. Musę iść do światu; Pan Bóg wie, cy się wrócę kiedy?“

Jakby na odpowiedź z daleka doleciała ich śpiewka rekrutów

„Kie my se pudziemy bez te cyste hory,
Zna se sam Pan Bóg, cy się wrócim wtory?“

Dziewczyna otarła łzy rękawem od koszuli i rzekła:

— Ej Jasiu, Jasiu serdecny, będzie mi też serce płakało za tobą. Cobyś przynajmniej wrócił się kiedy...

— Ty bo się ta wnet pociesysz — mówił Jasiek — dość tu śwarnych chłopców po wsi; ale mnie to się strasznie będzie cniło przez ciebie.

Dziewczyna wstrząsnęła głową:

— Nie gadaj Jasiu po próżnicy. Choćby tu jacy śliczni przychodzili, nie będę ich chciała.

W tej chwili od strony wsi dobiegł rozmawiających tęskny, dziki ton Sabadowych ¹⁾ gęślików i ulubiona jego nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy spozierają,

Cy się po pod Tatry bucki rozwijają?“

— Będzie mi się też cniło i za temi gęślikami i za temi górami wysokimi i za ludźmi swoimi — rzekł smutnie Jasiek — ale darmo, trza iść. Marysia załamała ręce. A pod zielony, stary jawór przyleciała znowu Sabadowa nuta:

„Hej! z orawskiego zamku chłopcy masierują,

A dziewczęta płacą, rączki załamują.“

W dali, w ciszy ginęły staroświeckie, przeciągłe, dzikie tony Sabadowych gęśli, które tyle umieją wygrać nut z jaśniejszej, lepszej przeszłości góralskiej.

Wtem drzwi skrzypnęły i z wnętrza chaty ozwał się głos kobiecy.

— Maryś, chodź do domu.

— Idę matulu zaraz — odparło dziewczę.

Zarzuciła chłopcu ręce obie na szyję i płacząc, mówiła:

— O mój Jasiu kochany, złoty, nie zabacaj o mnie i niech cię Matka Boska prowadzi.

— Ostań z Bogiem moja Maryś serdecna.

Rozeszli się — może na zawsze?

A stary jawór kołysał się w lekkim wietrze i szumiał, jak przedtem. Ciekawsze on może widział rzeczy, jak pożegnanie Marysi z Jaśkiem? Może kiedyś, w cieniu jego konarów spoczywał hetman zbójecki Janosik z dwunastu swymi towarzyszami? Może zakopali kiedy pod nim dukatów złotych kociołek, zdobyty na

¹⁾ Sabadą zwany Jan Krzeptowski, słynny strzelec na niedźwiedzie i muzyk.

węgierskich dziedzinach? Stary był bardzo, musiał wiele pamiętać...

Jaśkowi nie chciało się iść do karczmy, smutno mu było i ciężko, myślał zresztą, że może Marysia wyjdzie jeszcze z chaty. Zawinał się więc w czuszkę i oparł o pień jaworu. Noc była ciepła i cicha; powoli jednostajny szum wody, zdającej się w blasku księżyca płynącym kryształem i srebrem, i szmer jaworowych liści poczęły go usypiać. W pobudzonej jego wyobraźni zaczęły się roić dziwne obrazy. Zdawało mu się, że smereczki młode, posadzone koło chaty, jako zasłona od wiatrów, przybierają kształty ludzkie; ze smereczków utworzyły się postacie zbrojnych i strojnych dwunastu towarzyszy Janosika i on sam w czerwonym, złotem naszywanem odzieniu, bujny i piękny na ich czele. Wyciągał ku Jaśkowi rękę ze srebrnym pucharem i mówił: „Przystań ku nam“. Jasiek wziął puchar, wypił i za chwilę ujrzał się w Kościeliskach, w zbójeckiej grocie.

W koło niego ciż sami zbrojni i strojni siedzieli zbójcy. Janosik sparłszy się jedną nogą na kamieniu grał na fujarce liptowskie nuty; u nóg jego stały kociołki pełne złotych dukatów i srebrnych, węgierskich talarów.

Nagle w rozmarzonych oczach Jaśka zmienił się Gewont w mur wysoki i długi, lasy czarne po reglach w wojsko, a jawór, pod którym siedział, w szubienicę. Pod szubienicą stał Janosik zboczony krwią, ale śmiało i dumnie patrzący przed siebie, z fajką w ustach. Dwunastu jego towarzyszy i sam Jasiek siedzieli na ziemi zakuci w okowy. Czuł je Jasiek przez sen na rękach i nogach, zdawało mu się, że Tatry się chwieją i lasy gną od grozy; do uszu jego doleciała piosenka, która, jak mu się wydawało, Janosik, „hetman“ zbójecki, król Tatrów, zaśpiewał, jakby chciał, aby mu raz ostatni echem granity i lasy się odezwały:

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Budom nam rubali głowicki katowie.“

Ta piosenka, w istocie śpiewana przez rekrutów, wybierających się w drogę, obudziła Jaśka. Sen zniknął, ale zostało po nim dziwne wrażenie; wstając z ławeczki pod jaworem, przeżegnał się chłopiec i mimowoli dreszcz go przebiegł.

Dniało już: słońce czerwieniło się i złościło i oblewało purpurą wierzchy wysokie, a po lasach grało światło jakieś zielonawo-złote i leciało smugami po reglach. Budziło się wszystko: tatrzań-

skie jastrzębie zrywały się do lotu, gdzie niegdzie pasterze poczynali już śpiewać i dzwonki bydła wygnanego na pastwiska dźwięczały w czystym powietrzu. Świat cały podgórski pachniał świeżością, czarował pięknem, oddychał swobodą.

Dziś musiał Jasiek ruszyć ku tym dolinom, na których leżały grube mgły, ku tym równym, dusznym dolinom.

II.

Upłynęły dwa miesiące, jak Jasiek poszedł do wojska. Nie było mu tak bardzo źle, bo był zręczny i sprytny, ale tęskniło mu się do gór kochanych, do rodziców, do Marysi, do swobody.

Jednej nocy, cichej i jasnej, w początkach grudnia, stał na warcie na „Kopcu“. W dali rysowały się w konturach ostrych Tatry na ciemnym tle niebieskiem; już śnieg srebrzył ich wierzchy i ubocza. Z karabinem na ramieniu stał żołnierz nieruchomo i patrzył ku nim: tam jego kraj, jego życie, jego Marysia kochana...

Z południowego wschodu wiał łagodny, ale mroźny wiatr; ten sam wiatr zwiewał śnieg z turni, kołysał borami smereków i buków, szeleścił liśćmi jaworu zielonego przy chacie Marysinej. Jaśkowi zdawało się, że w szumie tego wiatru słyszy głos gęślików Sabadowych, przeciągłe śpiewy juhasów i hukanie dziewcząt po halach i dzwonki śpiżowe bydła; szelest liści kasztanów, które rosną w twierdzy na kopcu, zmienił mu się w imaginacyi w szmer liści starego jaworu z nad chaty Marysi. Wciągał w siebie powiew tego wiatru od gór, jakby w nim chciał swoje czyste powietrze odnaleźć. Marzył: widział się ze strzelbą w ręku gdzieś w wysokich, urwanych, wiszących ponad przepaściami turniach w pogoni za kozicami; to znowu na zielonej polanie przy bydle. Tak tam było jasno, słońce takie złote oblewało góry, tak tam było wesoło od śpiewu i swobodnie poza lasami i rzekami. Przypomniały mu się te noce letnie, jasne i ciche, których poważny uroczysty spokój przerywały tylko od czasu do czasu dzwonki; w szałasie koło ogniska siedzieli juhasi, widział ich wszystkich: Maćka starego bacę, Bartka, Staszka i juhaski Hanusię, Jagusię i swoją Marysię serdeczną; a nad ich głowami strzelały w górę takie skały granitowe, a nad temi skałami niebo się rozwieszało jakieś bliższe ziemi, niż na dolinach.

Nieraz w szałasie tak tańczyli wesoło: zdawało się Jaśkowi, że słyszy ostre tony Bartkowych skrzypców, w uszach brzmiały mu piosnki pasterzy. A czasem siedli koło ogniska i słuchali gadek starego bacy o zaklętych skarbach, o dziwożonach, o brodatych mnichach, co się koło Morskiego Oka przechadzają nocami, o „hetmanie“ zbójckim Janosiku. Gdy wiatr zaświszczał silniej w szparach szałasów, Marysia przytuliła się ku Jaśkowi z trwogą przed tym światem nadludzkim, góry napełniającym. A czasem taka burza przyszła, że się drzewa łamały, pioruny utracęły całe turnie, a od grzmotów drżały góry; ale potem znów było jasno, cicho i swobodnie.

Swobodnie było; nie było ani ciasnych murów kasarni, ani kaprali, ani służby ciężkiej. Wiatr z ojczystej strony, zmrożony w srebrze śniegów tatrzańskich, szeptał mu w ucho: „Tam tak dobrze w górach, tam wesoło, tam Marysia.“ Liście kasztanów mówiły mu: „Rzuć karabin, uciekaj. Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli..“ Ale w tej chwili przyszedł mu na myśl sen pod jaworem, Janosik pod szubienicą i on sam w okowach. Ucieknie? To go złapią i w areszt wpakują. A wiatr z ojczystej strony szumił mu: „Tyle lat przed tobą ciężkiej niewoli... od gór daleko... od Marysi kochanej daleko... Lepsza śmierć, niż niewola..“

W dali białe Tatry malowały się na jasno w złoconym gwiazdami tle nieba, jego góry rodzinne, umiłowane; wiatr wiał od nich cichy, mroźny, jak powietrze, z którego pochodził..

Jaśkowi zrobiło się dziwnie smutno i tęskno. Niewola tak ciężka, tęsknotą tak silna! Przyłożył lufę do piersi, pocisnął cyngiel: huknął strzał i kulą przez pierś przeszyty padł syn Tatrów srebrnych i borów smerekowych.

Nad nim jasne od gwiazd niebo się rozwieszało; tam, daleko bielily się góry. „Mój Boże — szepnął — świat taki pikny, séroki, a mnie juz nic do niego..“

Kiedy zaalarmowani żołnierze przybiegli, znaleźli Jaśka zimnego i sztywnego; pochowano go w niepoświęconej ziemi, bo za bardzo tęsknił.

Kiedy w czas niedługi stary, zielony jawór z nad Marysinej chaty runął rozdarty piorunem, śpiewali górale, rąbiąc jego konary:

„Pogniły jawory i limbowe lasy,
Kany się podziały nase dobre casy?“
